

Wyprowadzka

*P*o pogrzebie Gleesonowie podwieźli panią Thomas pod sam dom.

Najpierw do pokoju weszła Joanna z Anią na rękach, a za nią wjechała kolekcja pudeł i kartonów z wyprawką małej — od ubranek, przez butelki do mleka, aż po kołyskę. Wszystko pownosił do środka Gerald.

— Cóż — powiedział Bert, gdy mąż Jessie zniknął za drzwiami. — No to znowu nas przybyło.

Ania spojrzała na Berta i obdarzyła go szerokim bezzębny uśmiechem, który on nieoczekiwanie dla samego siebie odwzajemnił.

— A kiedy przyjadą meble?

Joanna poczuła strach, ale była pewna, że dopóki ma na rękach dziecko, dopóty mąż nie śmie jej uderzyć.

— Nie dostaniemy ich — odparła szeptem. — Wielbny Anderson zarządził, że pójdą na spłatę należności doktora Batesa. Mnie zaś przypadły w udziale wszystkie ubrania Berty. Są poskładane w wielkim pudle, które stoi na środku saloniku Shirleyów. Obok znajdziesz nieco mniejsze, z resztką rzeczy Ani. W trzecim jest trochę jedzenia, a w czwartym garść drobiazgów. Możemy je stamtąd jutro zabrać. Mam klucze. — Joanna zamilkła

na chwilę. Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia.
— Och, zupełnie zapomniałam!

— O czym? Na miłość boską, kobieto, mam nadzieję, że tym razem to będzie jakaś dobra wiadomość!

— To ważne. Pan Shirley przed śmiercią prosił, żeby przekazać Ani ulubioną szkatułkę Berty. Taką ładną, niebieską, emaliowaną. Stoi na górnej półce sekretarzyka. Mój Boże! Mam nadzieję, że nie przepadła.

Bert zmierzył Joannę wściekłym wzrokiem, ale nie odważył się jej tknąć.

— Czyli, biorąc wszystko do kupy — wyszczał — dostaliśmy cztery pudła i jedną chuderławą smarkulę z głową jak marchewka. To ci dopiero korzyść. — Odwrócił się na pięcie i wybiegł tylnymi drzwiami.

Joanna przekazała Anię Elizie, która tuliła małą i kołysała, gdy pani Thomas zajęta była przygotowywaniem kolacji. Bert wrócił dopiero o dziewiątej, gdy naczynia po wieczornym posiłku były już pozmywane.

— Wyprowadziłem konia — oznajmił — i zaprząłem do wozu Marcusa Hennigara. Jadę zaraz po te pudła. Daj mi klucze.

Na górze rozległ się płacz Ani.

— No proszę, jest i muzyka — zadrwił. — Nic, tylko tańczyć.

Rzucił nienawistne spojrzenie w kierunku Joanny i wyszedł.

Gdy Bert dotarł do żółtego domku, przejechał wozem przez środek trawnika i grządki kwiatowej Berty,

by w końcu uwiązać konia przed wejściem na tyłach posesji. Wsunął klucz do zamka. Na szczęście pasował! Mógł więc zabrać się do dzieła bez obawy, że zostanie zauważony przez wścibskich sąsiadów.

Przyjrzał się z uwagą meblom. Może któryś pasowałby do jego domu i dodałby mu... zaraz, jak to mówiła teściowa? Trochę s p l e n d o r u? Już on jej pokaże, na co go stać. Gdy tylko jego wzrok padł na wysmukłą biblioteczkę z przeszklonymi drzwiami, od razu wiedział, co ze sobą zabierze. Otworzył ją i wyrzucił na podłogę wszystkie książki. Odepchnął je nogą, żeby zrobić sobie przejście. Następnie przeciągnął mebel przez hol i kuchnię, a potem załadował zdobycz na wóz. Wrócił do salonu po cztery pudła, a w końcu wszedł na górę, aby odszukać emaliowaną szkatułkę. Stała na sekretarzyku, więc schwytał ją i szybko schował do kieszeni.

Joanna nie rzekła ani słowa na widok pudeł i biblioteczki ze szklanymi drzwiami. Wiedziała, że lepiej się nie odzywać. Ale choć serce waliło jej jak młot, zebrała się na odwagę, by zapytać:

- A co ze szkatułką? Znalazłeś ją?
- Nie. Pewnie ktoś był ode mnie szybszy.

Nazajutrz Bert zaniósł szkatułkę do lombardu. W pudełeczku był pierścionek, delikatny złoty łańcuszek i dwie broszki. Ucieszyła go cena, jaką uzyskał. Na koszt Shirleyów pił na umór przez trzy dni.

Tak wyglądała przeprowadzka Ani do nowego domu.

*Katie Maurice**K*

iedyś Eliza opowiedziała Ani o swojej dawnej szkolnej przyjaciółce Katie Maurice.

— Katie Maurice, Katie Maurice — powtarzała uradowana Ania. Imię i nazwisko dziewczynki najwidoczniej przypadło jej do gustu. — A kto to „przyjaciółka”?

Eliza najpierw roześmiała się, a potem popatrzyła smutno na Anię. W domu była piątka dzieci, a mała nawet nie wiedziała, kim jest przyjaciółka.

— To ktoś nam bardzo bliski — wyjaśniła. — Codziennie spędza się z nim czas, opowiada różne swoje sekrety, pociesza w trudnych chwilach.

Ania przysiadła na kamieniu i podparła piąstką spiczastą brodę.

— To ja chyba nie mam przyjaciółki — powiedziała niemal szeptem. — A czy kamienie albo kwiaty mogą być naszymi przyjaciółmi?

Eliza zagryzła wargi. Wiedziała, że oszukuje małą, ale nie mogła znieść jej smutnego spojrzenia.

— No pewnie — powiedziała. — Dobrze się do tego nadają, bo mogą słuchać bez końca.

A w miesiąc po ślubie Elizy, gdy Ania wkładała naczynia do przeszklonej biblioteczki i zobaczyła w szybie

własne odbicie, przypomniła sobie tamtą rozmowę. Odbita postać była niewyraźna i zupełnie do niej niepodobna — z twarzy zniknęły piegi, a włosy wydawały się brązowe. Dziewczynka miała wrażenie, że widzi kogoś innego, kogoś, kto zawsze przyjdzie, gdy ona tego zapragnie, wysłucha jej, kto doskonale nadaje się na... przyjaciółkę.

— Katie Maurice — szeptała Ania do siebie. — Witaj, moja przyjaciółko!

W domu panowała niezwykła cisza. Pan Thomas był w pracy, a czwórka maluchów i pani Thomas spali po obiedzie. Ania prawie już przywykła do nieobecności Elizy, ale rana w jej sercu wciąż się jeszcze nie zagoiła. Teraz dostrzegła sposób na przetrwanie w swej samotności.

— Katie Maurice! — wykrzyknęła jeszcze raz radosnym głosem. — Potrafisz skakać, cieszyć się i jesteś zarazem dobrą przyjaciółką.

Nieduża postać odbita w szybie prowadziła z Anią rozmowę. Jej usta poruszały się, a kiedy któryś z malców zapłakał i trzeba było się nim zająć, Katie Maurice uniosła rękę w geście pożegnania — w tej samej chwili co Ania.

Po raz pierwszy od miesiąca Ania z radością weszła do kuchni. Odkąd Eliza zaczęła jej czytać, lubiła wymyślać różne historie. Łączyła w nich sny i to, co podsuwała jej wyobraźnia. Tylko że po odejściu ukochanej opiekunki nie miała z kim podzielić się tymi przeżyciami. I oto nagle pojawiła się osoba, której mogła opowiedzieć

wymyślone historie, powierzyć sekrety, smutne i wesołe myśli. Wiedziała, że przyjaciółka cierpliwie ją wysłucha i nigdy nie powie jej brzydko, że ma przymknąć buzię. Już nazajutrz po południu znowu ją zobaczy. Chłopcy wtedy będą spali, a pani Thomas z pewnością również się położy, by trochę odpocząć. Będą mogły porozmawiać w ciszy i spokoju, a Katie nie uroni z tego ani słowa.

Od czego by tu zacząć rozmowę? Postanowiła, że najpierw opowie przyjaciółce o rodzicach i ich żółtym domku. O tym, jaka piękna była w oczach swojej mamy i jakiego dobrego miała tatę — nigdy się nie upijał i nie złościł. Powie jej też o krzaczku bzu przy wejściu, wielobarwnych kępach kwiatów w ogródku za domem. Opowie Katie o ciepłej i przytulnej kuchni, w której zawsze — nie tylko w dniu wypłaty — pełno było pysznego jedzenia: ciasteczek z melasą, wielkich kromek chrupiącego chleba grubo posmarowanych dżemem poziomkowym. Katie z pewnością wysłucha tej historii z wielką przyjemnością.

Ale nazajutrz, gdy nadszedł czas popołudniowej drzemki, Ania zaniepokoiła się przez chwilę, czy można uwierzyć, że Katie Maurice jest prawdziwa. Stwierdziła jednak, że przyjdzie jej to bez większego trudu. W końcu tyle razy wyobrażała sobie, że mieszka w żółtym domku razem z rodzicami i pomaga mamie piec różne słodkości, a czasem nawet wyrabiać ciasto na chleb. Piekarnik rozsiewał wtedy wspaniałe zapachy, a ona czekała z utę-

sknieniem, aż tata wróci ze szkoły. Wszystko było takie cudowne — łagodny głos mamy i czułe uściski. Ania bez problemu potrafiła przekonać samą siebie, że to, co sobie wyobraża, dzieje się naprawdę.

Podeszła do kredensu.

Za szklanymi drzwiczkami ktoś do niej pomachał i uśmiechnął się szeroko. Serce Ani na moment zamarło.

— Witaj, Katie Maurice — wyszeptła. — Tak się cieszę, że chcesz zostać moją przyjaciółką. Nazywam się Ania, Ania Shirley. Tak naprawdę mam na imię Anna, ale Eliza zawsze mówiła, że to brzmi poważnie i trochę staroświecko. Nie bardzo rozumiem dlaczego, ale widocznie tak jest — Ania przerwała na chwilę.

Katie Maurice stała bez ruchu i leciutko się uśmiechała. Od razu było po niej widać, że nie może się doczekać, kiedy Ania podejmie swoją opowieść.

— Urodziłam się pięć i pół roku temu. Pani Thomas mówi, że byłam bardzo brzydkim dzieckiem, ale dla mojej mamy byłam najpiękniejsza. Myślę, że to mama miała rację, a ty jak sądzisz?

Ani wydawało się, że zaczyna topnieć od środka, a jej wewnątrz wypełnia nieznane jej wcześniej ciepło. Wszystko to za sprawą przyjaciółki, której mogła opowiedzieć o wszystkim — także o tym, czego za nic w świecie nie wyjawiałaby Elizie, na przykład jak było jej smutno, gdy pani Thomas nazwała ją niegodziwą i podłą dziewczuchą. A przecież ona tylko na chwilę przerwała pracę, bo zdawało jej się, że jest księżniczką z tej książki, którą

czytała jej Eliza, albo dzielnym rycerzem zabijającym smoka.

— Bo jak ktoś robi coś okropnie nudnego — zaczęła o tym opowiadać Katie Maurice — na przykład pierze pieluchy, to różne fantazje po prostu same cisną się do głowy. A gdy już się pojawią, to wcale nie chcą odejść. Wtedy trzeba przerwać na moment pracę i zobaczyć, jak ubrana jest księżniczka albo jakiego koloru jest smok. Ale to przecież wcale nie znaczy, że się jest złym czy leniwym, co, Katie?

Ania skupiła wzrok na przyjaciółce i zobaczyła, że dziewczynka także pokręciła głową. Odetchnęła z ulgą.

— Och, Katie! — powiedziała. — W i e d z i a ł a m, że mnie zrozumiesz.

Kiedy półtorej godziny później obudziło się pierwsze dziecko, Ania ciągle snuła swą opowieść.

*Długi spacer**W*

krótce nastał luty i pani Thomas zdała sobie sprawę z tego, że już za sześć tygodni nie będzie miała kogo poprosić o pomoc, bo w połowie marca Ania miała rozpocząć naukę. Wszystkie obowiązki spadną na nią — duże i małe. A ponieważ pani Thomas nie widziała żadnych dobrych stron tego, że Ania zdobędzie wykształcenie, uznała, że sześć lat w szkole to czysta strata czasu. Pamiętała jednak, że dzieci w Nowej Szkocji objęte są obowiązkiem szkolnym, i wolała nie łamać prawa. To, że mąż co chwilę tracił pracę z powodu pijaństwa, wystarczająco ją upokarzało i nie chciała jeszcze wylądować w więzieniu za odmowę posyłania dziecka na naukę. Mogła jedynie żywić nadzieję, że śnieg albo marznący deszcz w marcu i na początku kwietnia zmuszą czasami dziewczynkę do pozostania w domu.

Z tych właśnie powodów pani Thomas postanowiła, że wykorzysta małą na tyle, na ile się da, dopóki jeszcze Ania jest z nimi. Poza tym ciągle była na nią zła z powodu szczotki, która nadawała się tylko do wyrzucenia, a nie bardzo było gdzie dostać nową, i z tej przyczyny, że makatka, która odzyskała dawny blask, będzie wisieć

w pokoju Ani. Pani Thomas postanowiła wymyślić dla niej jakąś karę. Ależ tak! Pośle ją po jajka. To będzie jej cotygodniowy obowiązek. I to bez względu na pogodę. A ponieważ okoliczne ścieżki są rzadko uczęszczane, pewnie trudno jej będzie przedzierać się przez zasy. No i jajka też ważą немало. „Będzie miała to, na co sobie zasłużyła”, pomyślała.

Ania wyruszyła w drogę po raz pierwszy już nazajutrz. Dostała wyraźne wskazówki, jak dotrzeć na miejsce i czego się spodziewać. Handlarz nazywał się Johnson, ale miejscowi wołali na niego Jajczarz. Pan Thomas, który w pracy poznał wiele plotek, tłumaczył dziewczynce, że Jajczarz jest wysoki i chudy, chodzi w podartych łachach, a na dodatek straszny z niego gbur, chociaż na szczęście nieszkodliwy.

Ania jednak nie bała się ani głębokiego śniegu, ani długiej drogi, ani nawet pana Johnsona. Cieszyła ją perspektywa wolnego przedpołudnia, dalekiego spaceru i wszelkich przeżyć, jakie się z nim wiązały. Najważniejsze, że choć raz mogła uwolnić się od codziennych obowiązków. Żadnego prania pieluch, szorowania podłóg czy gotowania! A jeśli wyprawa potrwa dłużej, to może i zmywanie naczyń jej się upiecze. Wiedziała, że jak tylko minie dwa domy, wejdzie na bardziej uczęszczany szlak, gdzie śnieg będzie ubity przez buty, końskie kopyta i płozy. Ale najpierw za towarzyszy będzie mieć jedynie drzewa, parę wron i białe pola. Spodziewała się też, że początkowo marsz sprawi jej trudności.

I nie myliła się – szybko poczuła zmęczenie. Każdy, kto kiedykolwiek przedzierał się przez zasy, wie, jak niełatwe to było zadanie dla sześcio-, a właściwie jeszcze pięcioletniego dziecka, nawet jeżeli jest wysokie jak na swój wiek. „Mila – myślała Ania, z mozołem brnąć do przodu – to naprawdę dużo. Przecież z naszego starego domu do Bolingbroke było tylko kilka mil, a prawie nigdy nie odwiedzaliśmy miasteczka, bo było za daleko”. Ania zasapała się i coraz mocniej pragnęła, aby domy szybciej pojawiły się przy drodze, bo potem miało być już łatwiej. Może zobaczy je tuż za tym zakrętem? Albo za następnym?

W pewnym momencie zauważyła królika. Był duży i miał nieskazitelnie białe futerko. Patrzył na nią spokojnie i bez lęku, czym wprowadził ją w zachwyt. Nie chciała przegapić wielu innych wspaniałości, dlatego przestała wbijać wzrok w ziemię i próbowała nie myśleć o bolących nogach. Podniosła głowę i zaczęła się rozglądać. Podziwiała piękno świerków i wysmukłych sosen, których gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu. Korony drzew nieomal stykały się nad jej głową, tworząc gigantyczne sklepienie. Poranek był zimny, lecz bardzo pogodny, więc śnieg skrzył się i migotał w promieniach słońca. Ania wypatrzyła na jednej z gałązek czerwonego grubodzioba, a na innej sójkę.

Zanim dotarła w pobliże zabudowań, udało się jej również dostrzec jelenia, który na polance najpierw szukał pod śnieżną pokrywą kory klonu, a potem próbo-

wał dosięgnąć pączków brzozy. Staęła, by go dokładnie obejrzeć, i całkiem zapomniała o zmęczeniu oraz zimnie. Był to pierwszy jelen, jakiego widziała w życiu, więc nie mogła oderwać od niego wzroku, taki wydawał się jej piękny. Miał plamki na sierści, smukłą szyję i wielkie łagodne oczy, które spojrzały na nią, gdy zwierzę uniosło głowę, rozglądając się dokoła. Zarówno niezwykle widok, jak i radość, którą wtedy poczuła, zapadły jej głęboko w serce.

Nie mogła jednak tak stać bez końca. Niechętnie ruszyła więc dalej i ledwie minęła najbliższy zakręć, zobaczyła długo wyczekiwane domy. Gdy się z nimi zrównała, z pierwszego budynku wyszła jakaś kobieta i zawołała:

— Hej, tam! Dziewczynko! Co ty tutaj robisz?

— Idę do pana Jajczarza! — krzyknęła Ania, a po chwili zupełnie już niepotrzebnie dodała: — Po jajka! — i pokazała płócienną torbę, która zdążyła zupełnie przemoknąć od śniegu.

— A może się poczęstujesz ciasteczkiem albo gorącą herbatą?

— Z chęcią!

— No to chodź, ale szybkoitko, bo wyiębię mieszkanie!

Była to pani Archibald. Jej bardzo przytulna kuchnia pachniała cynamonem i czekoladą, więc Ania z ochotą przystała na propozycję, by zdjęć palto i odpocząć kwadransik. Ciasteczko było wyśmienite, a herbata — gorąca i słodka. Ania wcale nie miała ochoty wychodzić na dwór.

— Ojej, co za piękne włosy — powiedziała pani Archibald, gdy tylko Ania zdjęła czapkę.

Dziewczynka wbiła w gospodynię wzrok pełen wdzięczności i podziwu. Piękne włosy? Chyba się nie przesłyszała? Czy to sen? Najpierw ten królik, potem jeleń, a teraz jeszcze piękne włosy! Co za dzień!

— Nazywam się Ania Shirley, Ania, nie Anna. Jestem sierotą i mieszkam u Thomasów, kawałek stąd, w stronę linii kolejowej. A jak tu szłam, to widziałam królika, jelenia i jeszcze dwa ptaszki — czerwonego i niebieskiego. Bardzo się zmęczyłam, ale i tak nie mogę się doczekać następnej wyprawy. No i ten śnieg tak pięknie błyszczący w słońcu.

— Też kiedyś miałam w domu taką dziewczuszkę jak ty — powiedziała pani Archibald.

— I już jej pani nie ma? Umarła czy uciekła? Och, przepraszam panią. Z pewnością była grzeczna i miła.

Pani Archibald się roześmiała.

— Nie umarła ani nie uciekła, tylko dorosła. Wyszła za mąż i wyprowadziła się do Kingsport.

— Och, zupełnie jak Eliza. Ona też jest daleko.

— A kto to taki Eliza? — spytała pani Archibald, podsuwając gościowi drugie ciasteczko, bo pierwsze zniknęło błyskawicznie.

— Najstarsza córka Thomasów, jedyna osoba w całej rodzinie, która mnie kochała. Ale niezbyt mocno. Bo wyszła za Rogera i wyjechała do Nowego Brunswiku. Kiedy mnie opuściła, myślałam, że umrę z żalu. Ale jakoś

przeżyłam. Ona to nawet chciała mnie zabrać ze sobą, ale Roger się nie zgodził.

Pani Archibald czule ścisnęła rączkę Ani.

— Potem to jeszcze Margaret poszła na służbę do Jamiesonów, Trudy zamieszkała u pani Archard. Nosi taką czarną suknię i koronkowy fartuszek, otwiera drzwi eleganckim paniom i podaje im kanapki. Ja to bym chciała mieć taką łatwą pracę.

— Łatwą pracę? — powtórzyła pani Archibald.
— O czym ty mówisz?

— No bo moja praca jest o wiele trudniejsza.

— Praca? Jaka praca?

— Pranie pieluch, mycie podłóg, przynoszenie wody dla pani Thomas, krojenie warzyw do obiadu i zmywanie naczyń. Wydaje mi się, że łatwiej byłoby włożyć koronkowy fartuszek i otwierać drzwi gościom.

— Czy ktoś jeszcze pozostał w domu?

— Trzech niezdolnych chłopaków i jedno grzeczne niemowlę o imieniu Noe. No i pan Thomas. On akurat teraz nie pije. Odkąd stracił pracę w Bolingbroke po wyprawie na tańce.

— A ile ty masz lat, Aniu? Osiem?

— W przyszłym miesiącu skończę sześć. I wtedy całe moje życie się zmieni. Bo pójdę do szkoły. I nauczę się wszystkich tych wspaniałych długich słów, które chciałabym znać, no i będę potrafiła też czytać. Nie umiem jeszcze liczyć do stu i też chciałabym się tego nauczyć, ale aż tak bardzo mi na liczeniu nie zależy. Naj-

bardziej to chciałabym umieć czytać. A jak ma na imię pani córka?

— Izabela.

— Och! — westchnęła Ania. — Jakie cudowne imię! Bardzo mi się podoba. Pani córka jest zapewne w Kingsport szczęśliwa. Mam nadzieję, że Eliza też jest szczęśliwa. Próbuję myśleć o Rogerze bez nienawiści, bo nienawiść człowieka wykańcza, ale nie zawsze mi się to udaje. Wiem, co to znaczy „wykańcza”, bo pani Thomas zawsze powtarza, że życie ją wykańcza. To brzmi o wiele ciekawiej, niż gdyby powiedzieć zwyczajnie, że życie męczy. Nie uważa pani?

— Absolutnie się z tobą zgadzam — przytaknęła pani Archibald, chociaż minę miała trochę niewyraźną.

— Powiedziała pani „absolutnie”. A co to słowo właściwie znaczy? Tak samo mówił ten pan, który przyszedł w sprawie szkoły. Tylko że ja do dziś nie wiem, o co dokładnie mu chodziło.

Pani Archibald zastanowiła się chwilę.

— Jak by ci to powiedzieć... mniej więcej tyle, co „zupełnie”, tylko że to słowo jest mocniejsze. Jest też trochę podobne do „bardzo”. Gdybym powiedziała: „Jestem absolutnie pewna, że będzie padać”, znaczyłoby: „Wiem, że spadnie deszcz”.

— Ach, tak — odrzekła Ania, wciągając buty i męcząc się przy wkładaniu palta. — Jestem absolutnie pewna, że powinnam już iść. Bo pani Thomas dała mi tylko wolne przedpołudnie, a zanim wrócę do Marysville, to pewnie

zapadnie już wieczór. Bardzo mi smakowały ciasteczka, a herbata mnie rozgrzała.

— Aniu — powiedziała pani Archibald — odwiedzaj mnie zawsze, jak tylko będziesz szła po jajka. Bardzo mi brakuje takiej małej dziewczynki jak ty. A tutaj masz w torebce kilka ciasteczek. Na pewno jeszcze zgłodniejesz po drodze. Nie będziesz przecież jadła jajek.

I nagle Ania przypomniała sobie, jak przytuliła ją Eliza. Podeszła więc do pani Archibald i mocno się do niej przytuliła.

— Do widzenia — rzuciła na odchodnym i ruszyła do drzwi.

— Pan Johnson mieszka kawałek dalej za następnym zakrętem. Niby jest gderliwy i szorstki, ale to tylko pozory. Nie musisz się go bać. Nic ci nie zrobi. A jajka z jego farmy są dobre.

Po odpoczynku u pani Archibald Ani przybyło sił. Ciągle myślała o ciepłej kuchni, ciasteczkach i o tym, że ma piękne włosy. I jeszcze o gorącej herbacie. O króliku. I oczywiście o jeleniu. **A b s o l u t n i e** nie przejmowała się gderliwością pana Johnsona. Była gotowa stawić czoło wszelkim trudnościom.